



Mirosław Derecki

ZACZEŁO SIĘ OD „PSZCZÓŁKI”

- Jako spiker lubelskiej radiostacji, popularnie nazywanej „Pszczółką”, zapowiedział pan jej pierwszą audycję, to właśnie pan odczytał następnie tekst Manifestu PKWN. Jak do tego doszło? I skąd pan, wilnianin, znalazł się w Lublinie? - pytam wicedyrektora Muzeum Okręgowego w Lublinie, Tadeusza Chabrosa.

- Przede wszystkim małe sprostowanie: urodziłem się na Lubelszczyźnie, niedaleko Puław, tylko że wkrótce potem moi rodzice przenieśli się do Wilna. Tam już upłynęło moje dzieciństwo i lata szkolne, tam też stawiałem pierwsze kroki w zawodzie dziennikarskim. Od 1940 r. aż do chwili zajęcia Wilna przez Niemców pracowałem jako reporter w dziale miejskim „Prawdy Wileńskiej”, organu WKP(b) Litwy. Gazeta ukazywała się w języku polskim. W latach okupacji chwyciłem się różnych zajęć, pracowałem jako robotnik w fabryce mebli i na kolei.

W lipcu 1944 r. Wilno zostało wyzwolone przez wojska radzieckie. Związałem się z działalnością Związku Patriotów Polskich. Lokal wileńskiego oddziału ZPP mieścił się w narożnej kamienicy przy ul. Mickiewicza. Stale można tam było zastać Irenę i Jerzego Sztachelskich, Marię Dziewicką, Stanisława Fedeckiego. Towarzyszyła im spora grupa młodzieży, wśród której znajdowałem się i ja. Pewnego dnia, w końcu lipca, pojawił się w Wilnie Jerzy Putrament, który z właściwą mu energią zaczął organizować grupę osób mających się udać do Lublina, gdzie już od kilku dni urzędował PKWN. W Lublinie potrzebowano działaczy, dziennikarzy, naukowców.

2 sierpnia 1944 r. wraz z dziewiętnastoma innymi osobami wsiadłem na lotnisku Porubanek do transportowego „Douglasa” i w chwilę potem wystartowaliśmy. Samolotem tym lecieli: Sergiusz Szylling-Siengalewicz, prof. Jan Dembowski (późniejszy marszałek Sejmu), Leon Kurowski, oboje Sztachelscy, Maria Dziewicka oraz spora grupa młodzieży: Jan Mietkowski - obecny wiceprezes „Polskiego Radia”, Mieczysław Subotowicz - dzisiaj profesor fizyki na UMCS, Tadeusz Mongird, Ziemowit Fedecki.

- Przybycie do pierwszej stolicy Polski Ludowej musiało być dla was wielkim przeżyciem?

- Oczywiście. A tym większym, że lot obfitował w sytuacje dramatyczne. W okolicach Puszczy Białowieskiej, pilot otrzymał przez radio wiadomość, że zbliżają się niemieckie myśliwce. Nie pozostawało nic innego, jak pełną mocą silników wiać z powrotem na wschód. Dosłownie na resztkach benzyny dociągnęliśmy do lotniska w Sarnach i dopiero następnego dnia mogliśmy kontynuować podróż. Bez przeszkód lądowaliśmy w Dysie i stąd wojskowa ciężarówka przywiozła nas do Lublina, prosto przed budynek rządowej stołówki przy ulicy Spokojnej...

- To znaczy obecnie ulicy 22 Lipca. A dom, w którym mieściła się ta stołówka, miał się w późniejszych latach stać siedzibą Lubelskiej Rozgłośni „Polskiego Radia”.

- I w którym, w pokoju na parterze miałem w przyszłości zająć miejsce redaktora naczelnego. Ale nie jestem jasnowidzem i jedyne przeczucie, jakie mnie wówczas tknęło, to miła myśl, że za chwilę dostaniemy obiad. Zajął się nami serdecznie pani Wanda Górka, szef kancelarii Krajowej Rady Narodowej, ona też znalazła dla nas, młodych, kwatery w nie istniejącym już dzisiaj budynku na tyłach gmachu Urzędu Wojewódzkiego. Był to pokój przejściowy, dalszą część mieszkania zajmował Bolesław Bierut. Następnego dnia, 4 sierpnia o godz. 11, wizyta w gabinecie Bieruta. Rozmowa dotyczyła działalności wileńskiego oddziału Związku Patriotów Polskich, następnie naszego przygotowania zawodowego. Starsi otrzymali odpowiednie stanowiska w różnych resortach PKWN, my, grupa młodzieży, zostaliśmy skierowani do pracy w Resorcie Informacji i Propagandy, którego jedną z agend było tworzące się właśnie „Polskie Radio”. Kolejne losy sprawiły, że do tej pory wszyscy, z wyjątkiem Subotowicza, pracujemy w „branży” kulturalno-propagandowej. Moja pierwsza praca jako propagandyisty to właśnie praca spikera radiowego. A spikerem zostałem dlatego, że w czasie prób mikrofonowych mój głos okazał się najbardziej „radiowy”.

- Skąd wzięła się nazwa „Pszczółka”?

- Nadajnik nie miał wielkiej mocy i w odbiornikach radiowych ciągle coś bzykało i brzęczało. Trzeba dodać, że często słowa spikera były zagłuszane odgłosami lecących niemieckich samolotów i kanonadą artylerii przeciwlotniczej. „Pszczółka”, zamontowana w dwóch osobowych wagonach, przyjechała z Moskwy jako dar rządu radzieckiego i została ustawiona na bocznicę kolejowego dworca lubelskiego, w pobliżu stanowisk artyleryjskich. Pamiętam dokładnie, że mikrofon stał na podnoszonym stoliku między oknami wagonu. Za stronę techniczną odpowiadał technik radziecki w stopniu sierżanta.

Zanim jednak na fali 224 m popłynęła w eter pierwsza audycja, musiała się ukonstytuować redakcja. Do naszej „wileńskiej” grupy dołączył partyzant Armii Ludowej, Zbigniew Lipiński - obecny korespondent Polskiego Radia i Telewizji w Paryżu, Adam Kostaszuk i Stanisław Nadzin - dziennikarze z prasy wojskowej oraz pani Wolska, maszynistka, wówczas jedyna lublinianka w zespole.

- W zbiorze wspomnień wydanym przez Wydawnictwo Lubelskie i zatytułowanym „W stołecznym Lublinie” pisze pan m. in.: „Prosty, węglowy mikrofon był bardzo czuły. Potrafił wchłonąć w siebie i przekazać w daleki świat wszystko, co się do niego mówiło, co się do niego szeptało ze wzruszeniem, a czasem nawet krzyczało z radości. A było o czym mówić - odradzające się Polskie Radio mówiło o odradzającej się ojczyźnie”.

- Proszę sobie wyobrazić jak w tej atmosferze trudna była praca spikera. Nieraz musiał dokonać ogromnego wysiłku, żeby panować nad głosem, żeby zachować zimną krew. No i nadrobić brak doświadczenia, zarówno zawodowego jak i życiowego. W tamtych czasach miałem przecież dopiero dwadzieścia jeden lat.

Pierwszą audycję nadaliśmy 10 sierpnia 1944 r. Rozpoczęta się o godz. 18. Najpierw rozległ się z głośników hymn państwowy, potem moja zapowiedź, że oto na wyzwolonych ziemiach polskich rozpoczyna, działalność Polskie Radio, wreszcie informacja jakie wiadomości i audycje będziemy nadawać. Następnie odczytałem treść Manifestu Lipcowego. Zadanie miałem niełatwe, bo - po pierwsze - ogarnęło mnie ogromne wzruszenie, po drugie - tekst był trudny do czytania, gdyż nie miałem maszynopisu, tylko wielką płachtę afisza. Później poszły wiadomości bieżące, wiadomości z frontu, wreszcie muzyka z płyt. Uboga była wówczas nasza płytoteka, kompletowaliśmy ją różnymi sposobami, m.in. dawaliśmy ogłoszenia w miejscowej prasie i skupowaliśmy płyty od osób prywatnych. Ta pierwsza audycja trwała trzy godziny i przez kilka pierwszych tygodni ograniczaliśmy się tylko do audycji popołudniowych. Później program dzienny zwiększył się do sześciu godzin.

- To nastąpiło po zakończeniu pierwszego, „pionierskiego” okresu pracy „Pszczółki”?

- Tak. I w ogóle wiązało się z dynamicznym wzrostem życia kulturalnego w Lublinie. Przybywało coraz więcej dziennikarzy, literatów, artystów, aktorów, muzyków. Jak grzyby po deszczu wyrastały nowe redakcje. To samo w przypadku radia. Trzy tygodnie po pierwszej audycji przenieśliśmy się z wagonów kolejowych do lokalu na drugim piętrze kamienicy przy ul. Szopena 9. To znaczy przeniesiono tam studio radiowe i nadajnik. Natomiast redakcje mieściły się przy Krakowskim Przedmieściu 62. Nazywano je wówczas działami. Był więc Dział Ziemi Wyzwolonych, Dział Informacji Politycznych, Dział Wojskowy i Dział Artystyczny. Zapamiętałem numer telefoniczny naszego studio: 37-33.

Rozszerzenie codziennego programu radiowego do sześciu godzin (trzy przed południem i trzy po południu) wiązało się z koniecznością powiększenia liczby spikerów. Wkrótce było nas już pięcioro: z Warszawy przedarła się do Lublina Stefania Grodzieńska, z Armii Ludowej trafiła do studio Aleksandra Nowodworska, w ogłoszonym konkursie na spikerów zwyciężył Zbigniew Nabzdyk, z partyzantki, przybył Igor Sikirycki, jedyny zresztą rodowity lublinianin, syn znanej bibliotekarki.

- Przez studio przewinęło się w owym okresie szereg znanych osobistości z życia politycznego i kulturalnego. Nie było przecież aparatury rejestrującej, mówiono do mikrofonu wprost, „na żywo”, a mikrofon był tylko jeden. Które z owych przemówień najbardziej utkwilo w pańskiej pamięci?

- Trudno odpowiedzieć jednoznacznie. Miałem wtedy okazję poznania Bolesława Bieruta, Karola Świerczewskiego, Wandy Wasilewskiej i wielu innych działaczy. Ale jeden z najbardziej wzruszających momentów wiąże się dla mnie z pojawieniem się we wrześniu w studio Stefana Jaracza. W pierwszej chwili nie poznaliśmy wielkiego aktora. Był wycieńczony pobylem w Oświęcimiu, w ostatnich miesiącach gruźlica poczyniła w jego organizmie ogromne spustoszenia. A jednak przemówił do mikrofonu i było to chyba ostatnie jego przemówienie do szerokiego audytorium: „Dziś w Lublinie, po raz pierwszy od pięciu lat, spotykam się z wami, przemawiam do was - moich dawnych, odzyskanych przyjaciół, moich słuchaczy, moich rodaków. Stoję przed wami chory, bardzo zmęczony, głos odmawia mi posłuszeństwa i dlatego mogę tylko w paru słowach podzielić się wami moimi marzeniami. [...] Człowiek poszukuje sztuki, sztuka przemawia do człowieka, sztuka powinna człowieka kształcić i doskonalić”.

Ale nie oddałbym w pełni atmosfery tamtej pracy, gdybym nie wspomniiał o momentach humorystycznych, kiedy spikerom zdarzały się fantastyczne nieraz lapsusy językowe. Taką wybitną gaffę strzeliła kiedyś Grodzieńska, oświadczając do mikrofonu: „W związku z ustawą o reformie rolnej chłopci uchwalili rewolucję”, zamiast, naturalnie - „rezolucję”.

- W marcu 1945 r. skończył się lubelski okres „Polskiego Radia”...

- Tak Stolica była wyzwolona, rozgłównia i redakcje przeniosły się do Warszawy. Ja opuściłem Lublin jeszcze trochę wcześniej. Jako członek specjalnej grupy operacyjnej, utworzonej przez Resort Informacji i Propagandy, wyjeżdżałem do Krakowa i Łodzi, aby pomagać tam w organizowaniu rozgłośni radiowych. I właśnie z Łodzi przyjechałem już prosto na nowe miejsce pracy, do Warszawy. Rozgłównia mieściła się wówczas na Pradze, przy ul. Targowej. Dotarłem tam późną nocą i położyłem się spać na jedynym wolnym w studio miejscu, to znaczy na fortepianie. Rano obudziły mnie odgłosy przypominające bombardowanie. To ówczesny dyrektor muzyczny „Polskiego Radia”, profesor Roman Jasiński, przegrywał utwory, mające iść w przedpołudniowym programie. W ten sposób rozpoczął się warszawski okres mojej pracy radiowej.

- Ale jednak po siedmiu latach wrócił pan da Lublina...

- Dokładnie 9 września 1952 r. Zapadła decyzja o uruchomieniu rozgłośni „Polskiego Radia” w Lublinie, a ja obejmowałem redakcję naczelną. Wyraźnie przypomniał mi się wówczas lubelski okres pionierski z 1944 r. Znowu trzeba było robić coś z niczego i znowu trzeba było mierzyć siły na zamiary. Ten mój drugi lubelski radiowy okres działalności

zakończył się budową radiostacji w Bożym Darze oraz gmachu Rozgłośni Lubelskiej przy ul. Obrońców Pokoju. Tak to wygląda w skrócie. Obszerniejszy materiał wspomnieniowy o życiu kulturalnym w stołecznym Lublinie znajdą czytelnicy w mojej książce pt. „Kronika wydarzeń w Lublinie”, która ukaże się w bieżącym roku nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

Pierwodruk: „Kamena”, 1974, nr 14, s. 7.